

Niezwykły życiorys chłopaka z wielkopolskiej wsi.

Nasz ojciec, Józef Kostański urodził się 18-tego marca 1915 r. w Konojadzie pow. Kościan jako trzecie z dziewięciorga dziecko rolników Stanisława i Franciszki zd. Szara. Po ukończeniu miejscowej 6-klasowej szkoły powszechnej w 1929 r. został przyjęty na kurs wstępny Państwowego Seminarium Nauczycielskiego w Rawiczu.



Fot. 1. W Seminarium Nauczycielskim w Rawiczu.

W czasie lat nauki trenował gimnastykę sportową oraz lekkoatletykę. Był też solistą chóru seminaryjnego. W 1935 r. zdał maturę.



Fot. 2. Matura w Seminarium.

Chcąc zostać pilotem wojskowym pojechał do Dębłina na egzaminy. Z około 120-tu chętnych, po wszystkich sprawdzianach został w grupie 6-ciu. Były jednak tylko 3 miejsca na kursie pilotów, a trzech z tej grupy miało ukończony kurs spadochronowy, więc ich wybrano. Pozostałym zaproponowano kurs balonowy. Z tej możliwości Ojciec zrezygnował. By uniknąć panującego w zawodzie nauczycielskim bezrobocia, zgłosił się ochotniczo do odbycia służby wojskowej. Służbę odbył w Szkole Podchorążych Rezerwy 14 DP w Poznaniu w roku szkolnym 1935/36, uzyskując stopień wojskowy plutonowy podchorąży. W roku szkolnym 1936/37 pracował jako nauczyciel bez etatu w szkołach podstawowych w Gostyczynie i Latowicach pow. Ostrów Wlkp. Po odbyciu kursu wakacyjnego, został w 1937 r. powołany do pracy na Wołyniu. Został kierownikiem Publicznej Szkoły Powszechniej w Stachówce pow. Sarny. Wołyn zauroczył młodego Wielkopolanina. Wieś była zamieszkała przez polską szlachtę. Ludzie biedni, lecz dumni ze swojego szlachectwa. Przed bliższymi kontaktami z miejscowymi ludźmi przestrzegali Ojca poprzedni kierownik szkoły. Wbrew tym radom Ojciec wziął udział w zawodach siłowania się na ręce. Wygrywając wzbudził podziw, ponieważ jako niewysoki [165 cm] pokonał większych i cięższych od siebie. Ratując tonącego ucznia Bronisława Bułgajewskiego, zaskarbił sobie życzliwość i szacunek miejscowej ludności.



Fot. 3. Wołyń, Stachówka, 1938 rok (drugi z prawej).

Przyroda Wołynia była zachwycająca. Lasy z wielką różnorodnością zwierząt, malownicze rzeki, jeziora, mokradła i torfowiska. Zapalony myśliwy, nauczyciel z sąsiedniej wsi Kanonicze, a pochodzący z podpoznańskiego Wrączyńa Tadeusz Brudziński zabierał Ojca na polowania. Obserwowali tokowania głuszców i cietrzewi.



Fot. 4. Wołyń, na polowaniu z Tadeuszem Brudzińskim. Kostański z prawej.

W soboty nauczyciele z sąsiednich wsi organizowali sobie spotkania towarzyskie. Na jednym z nich Tadeusz Brudziński strzelając z broni w strop drewnianego domu, nakłonił Ojca, wiernego harcerskiej przysiędze do wypicia pierwszego w życiu kieliszka alkoholu. Będąc na wakacjach w rodzinnym domu, poprosił rodziców, aby młodsza siostra Helena pojechała z nim prowadzić dom w Stachówce. Rok szkolny 1938/39 spędzili razem na Wołyniu. W wakacje 1939 r. Ojciec pracował w rodzinnym gospodarstwie przy żniwach.



Fot. 5. Wśród nauczycieli.

Dwudziestego czwartego sierpnia został powołany powszechną mobilizacją do obrony kraju w szeregach Wojska Polskiego [baon zapasowy 14 DP 7 komp.58 pp.].

Walczył pod Kutnem, gdzie jego jednostka została rozformowana. Dostał się do Warszawy, w obronie, której brał udział. Szesnastego września harcerka nocą przeprowadziła go przez uszkodzony bombami most Kierbedzia. Z Pragi odchodziły w tym czasie pociągi na wschód, więc planował dostać się do Stachówki.

17.09.1939 r. cywilny pociąg, w którym jechał został ostrzelany przez sowieckie czołgi. Wielu ludzi zginęło. Rosjanie zrobili zbórkę żyjących. Ogromne wrażenie zrobiło na Ojcu oświadczenie rosyjskiego oficera, iż rosyjscy żołnierze musieli się bronić, bo z tego pociągu padły do nich strzały. Rozpoczęła się selekcja. Był w mundurze podchorążego, więc sowieci chcieli Go dać do grupy oficerów. Zaprotestował, że nie jest oficerem, na co rosyjski żołdak "ruki dawaj". Spracowane przy żniwach dłonie uratowały go przed Katyniem. Zapamiętał nazwiska 2 oficerów, które znalazł na liście zamordowanych w Katyniu.

Ojca wraz z cywilami wtłoczono do wagonu bydłowego i pociąg ruszył w kierunku Szepietowki, gdzie zaczynał się szeroki tor. Bez jedzenia i picia z wieloma przystankami pociąg jechał 3 dni. W tym czasie dzieci i osoby słabsze umierały z głodu. Na jednym z postojów pociągu, jeszcze na terenach Polski, miejscowe kobiety przyniosły kawę. Na narożniku każdego wagonu stał żołdak z bronią na sznurku. Zdesperowany Ojciec poprosił kobiety o zbliżenie się do wagonu i sam wskoczył między nie. Pod spódnicami kobiety wyprowadziły Go z dworca i u kolejarza zamienił mundur wojskowy na ubranie robocze. Szedł do Stachówki i w ciągu 24 godzin pokonał przeszło 100 kilometrów, żywiąc się burakami z pól. W Stachówce była już władza radziecka, która kazała otworzyć szkołę, dodając jeden przedmiot-ateizm. Co tydzień we wsi było zebranie, na którym politruk tłumaczył "my jesteśmy socjaliści, Niemcy są socjaliści razem pójdziemy, podbijemy cały świat"

Jeszcze we wrześniu 1939 r. do rodzinnego domu dotarła informacja, że pod Kutnem widziano jak Niemcy prowadzili Ojca na rozstrzelanie. Ponieważ przez kilka miesięcy nie było żadnej informacji o losie Ojca, w Konojadzie została odprawiona msza święta za spokój duszy zaginionego. W Wigilię do Konojadu dotarł list od Ojca, lecz nie do domu rodzinnego, a do

zaprzyjaźnionej rodziny Sibilskich. List zaniósł przyszła żona, a nasza Mama Irena. Informacja, że Józef żyje została przyjęta entuzjastycznie, jako najlepszy prezent gwiazdkowy.

Na wiosnę 1940 r. retoryka politruka zmieniła się "Germańcy to też swołocz i trzeba z nimi uważać". W okolicy zdarzały się wywózki. Nocą z domu zabierany był "na przesłuchanie" "podejrzany", a rano na posterunku od tego samego nkawudzisty, który nocą aresztował, rodzina dowiadywała się "u nas nikogo takiego nie ma, my nikogo takiego nie aresztowaliśmy". Dotarli do Ojca informacje, że NKWD zasięga pokątnie wiadomości o nim-czy nie jest oficerem, czy nie jest przeciw sowieckiej "właści". Na konferencji nauczycielskiej we Włodzimiercu usłyszał że jeden młody nauczyciel prowadzi propagandę religijną, że „u jednego Bóg wisi na ścianie.” Wiedział, że to chodzi o niego, więc trzeba uciekać. Razem z Tadeuszem Budzińskim rowerami pojechali na stację kolejową, ze względu na bezpieczeństwo pomijając najbliższą. We Włodzimierzu Wołyńskim działała sowiecko-hitlerowska Komisja do Spraw Uchodźców Wojennych. Ze względu na wielką liczbę uchodźców, dopiero "argument" ze złotego zegarka i rowerów pozwolił stanąć przed komisją. Jako "cywilny uciekinier z czasu wojny" z problemami, ale otrzymał przepustkę do Generalnego Gubernatorstwa. Dojechali do Warszawy, gdzie w ostatnich dniach maja 1940 r. zatrudnił się jako robotnik w Przedsiębiorstwie Budowlanym Dobski przy ul. Narbutta. W sierpniu 1940 r. otrzymał przepustkę do domu rodzinnego "dla udzielenia pomocy rodzicom w pracy na roli". Przez Polaka pracującego w Urzędzie Gminy w Kamieńcu zostało zapisane "wrócił na miejsce stałego zamieszkania".

W październiku 1940 r. Niemcy wywłaszczyli i wysiedlili rodzinę Kostańskich. Przez kilka dni mieszkali w fatalnych warunkach w oborach w Łodzi. Tam dokonano selekcji, na zdolnych i niezdolnych do pracy fizycznej. Interwencja Ojca, pozwoliła siostrze Marii {rocznik 1923} pozostać przy rodzicach i razem z nimi i młodszym rodzeństwem Melanią i Czesławem zostali wywiezieni w okolice Lubartowa. Ojca z siostrą Heleną {rocznik 1921} wywieźli Niemcy do Arbeitslager w Berlinie. Tam Niemcy zainteresowani pozyskaniem taniej siły roboczej wybierali sobie pracowników. Ojcu udało się uprosić Niemca, który Go wybrał, by wziął także siostrę. Znaleźli się w gospodarstwie rolno-transportowym Behnke na przedmieściach Berlina – Teltow Mahlewer – Strasse 210.



Fot. 6. Jego niemiecka karta pracy.

Ojciec został wyznaczony do dbałości o stajnię {5 koni} i pracy końmi. Gospodarstwo miało około 120 hektarów gruntów, przeważnie sztucznie nawadnianych z berlińskiej kanalizacji poletek 1/4 do 1/2 ha. Uprawiano buraki pastewne, kapustę, marchew i trawę, którą koszone 5-7 razy do roku na paszę dla ok. 60 szt. krów dojnych i ok. 40 szt. świń.

Zatrudnionych w firmie było sporo osób. Czterooosobowa rodzina oborowych, oraz trzech młodych Niemców, powołanych w krótkim czasie do Wehrmachtu. W tym Niemiec pracujący końmi słabo rozwinięty umysłowo, lecz ostentacyjnie ubierający się w żółtą-hitlerowską koszulę. Niemka-ślazaczka znająca język polski oraz inna młoda Niemka.

Polska rodzina Sęków z Tczewa z czworgiem dzieci, przywieziony z łapanki w Łodzi 3-letni chłopak, 18-letni chłopak z Pyzdr k/Konina, dwoje robotników z Łodzi. Dodatkowo 2 byłych jeńców wojennych-Serb i Chorwat, który przyjął obywatelstwo niemieckie, dwoje młodych Czechów, dwoje młodych Ukraińców, później również małżeństwo rosyjskie, dwóch młodych Włochów oraz codziennie przywożonych 2 jeńców wojennych-Francuzów. Gdy w 1941 r. Niemcy-kierowcy zostali powołani do Wehrmachtu, szef wysłał Ojca, wraz z dwoma Niemcami na kurs kierowców. Egzamin zdał tylko Ojciec i został zatrudniony jako kierowca ciężarówki na gaz drzewny. Przeważnie woził żwir z kopalni do obiektów wojskowych w Berlinie. Codziennie, często również w niedziele o godz. 6.30 wyjeżdżał, a wracał ok. 17-18. Po powrocie musiał oczyścić pojemniki gazu w samochodzie i załadować paliwo na następny dzień-drobno pocięte drewno. Po umyciu się i zjedzeniu posiłku ok. 20-tej był wolny. Rozwoził też po berlińskich sklepach dojrzałe i butelkowane w gospodarstwie mleko. Lubili z Ojcem jeździć wnukowie szefa 9-10 letni chłopcy.



Fot. 7. Na robotach.

Rodzina Sęków, nagabywana była przez znającą język polski córkę "szefa" i zamierzała podpisać listę VD, by umożliwić swym dzieciom pobieranie nauki szkolnej. Ojciec ujawnił Sękom, że jest nauczycielem i podejmie się nauki dzieci według uproszczonego programu polskiej szkoły podstawowej, prosząc o zachowanie ścisłej tajemnicy. Prawie codziennie po kolacji w ciasnym mieszkaniu Sęków w wielorodzinnym baraku uczył 7-letnią Zofię i 9-letnią Janinę. Początkowo bez żadnych pomocy naukowych. Problemem było to, że młodsza znacznie sprawniej posługiwała się językiem niemieckim niż polskim, a bliskie sąsiedztwo wrogich Polakom Niemców stanowiło poważne zagrożenie.

Starsza siostra Ojca Franciszka, również nauczycielka zamieszkała w powiecie ostrowskim. Przesłała elementarze i podręczniki do nauki rachunków, co znacznie ułatwiło naukę. Zajęcia trwały 1-2 godziny i dziewczynki stosunkowo szybko opanowały materiał programowy pierwszej klasy. Po upływie roku siostra przesłała podręczniki dla klasy drugiej oraz trzeciej, więc nauką zostało objęte starsze rodzeństwo 11-letni Tadeusz /miał ukończoną pierwszą klasę/ i 13-letnia Elżbieta /ukończona druga klasa/ zatrudnione już w charakterze robotników. Do końca roku 1943

dzieci opanowały materiał klasy drugiej-młodsze i klasy trzeciej-starsze. W 1944 r. Ojciec przerobił z młodszymi klasę trzecią, kurs A, natomiast ze starszymi klasę trzecią kurs B. W 1945 r. rozpoczął z młodszymi naukę według kursu B klasy trzeciej, a ze starszymi według kursu A klasę Czwartą. Ówczesna sytuacja uniemożliwiła jednak prowadzenie zajęć systematycznie. Naukę prowadził Ojciec zupełnie bezinteresownie, często za własne środki kupował dla dzieci przybory do pisania. Utrzymywany przez Ojca kontakt listowny z rodziną Sęków po wojnie świadczy, że zajęcia prowadzone potajemnie bardzo dopomogły dzieciom. Po powrocie do Tczewa w ciągu jednego roku potrafiły przerobić klasę czwartą i piątą młodszą, oraz klasę siódmą starszą. Jesteśmy przekonani, że Ojciec swoją prowadzoną w nadzwyczaj niebezpiecznych warunkach z narażeniem życia pracą, uchronił rodzinę Sęków przed germanizacją.

Jako dobry pracownik, cieszył się szacunkiem swego pracodawcy, którego interwencje dwukrotnie ratowały Ojcu życie. Raz samochód, który prowadził miał kolizję z samochodem wytwórni filmowej UFA wiozącym znanych aktorów. Mimo winy kierowcy filmowców, przybyłe na miejsce wypadku SS postawiło Ojca jako Polaka pod ścianą do rozstrzelania. Na miejsce wypadku przyjechał też Ojca szef i jego poręczenie uwolniło Ojca. Ojciec zrobił sobie radio, przez które słuchał nocami Radio Londyn. Radio miał schowane za belką na poddaszu, jednak pewnego dnia znalazł je ten paradujący w żółtej-hitlerowskiej koszuli Niemiec i powiadomił o tym SS. Przybyłym esesmanom Behnke powiedział że to jego radio, czym po raz wtóry uratował Ojca. Ojciec "umiał" też Niemcom życie. W kinie w czasie wyświetlania kroniki sławiącej podboje Wehrmachtu rozdeptał pastylkę o bardzo nieprzyjemnym zapachu, co spowodowało ewakuację sali.

Gospodarstwo Behnkego sąsiadowało z cmentarzem oraz drogą, po której wieczorami spacerowały pary. Ojciec bardzo dobrze chodził na szczudłach. Ubrany w białe prześcieradło, na wysokich szczudłach wyszedł przez cmentarne ogrodzenie na drogę, czym wzbudził popłoch spacerowiczów. W kwietniu 1945 r. gdy front zbliżył się do Berlina, przed całodobowym ostrzałem Niemcy chronili się w piwnicach. Czekanie w nieuzbrojonej piwnicy wydawało się Ojcu niezbyt bezpieczne, więc załadował na ciężarówkę rowery i zaferował chętnym jazdę na wschód, w stronę Polski. Niestety, nie dojechali daleko, bo na rogatkach Berlina zasieki na drodze uniemożliwiły dalszą jazdę samochodem. Wraz z siostrą Heleną przesiedli się na rowery. Kilkanaście kilometrów od Berlina natknęli się na rosyjski patrol. Mimo tłumaczenia, że są Polakami pod lufami karabinów musieli oddać rowery. W zamian zabrać mogli inne, uszkodzone leżące na poboczu. Prowadząc rowery dotarli do Odry, przez którą przeprawił ich rybak łodzią. Pod Konotopem po raz kolejny natknęli się na pijany rosyjski patrol, któremu trudno było wytłumaczyć, że są Polakami. Pytany pod lufami karabinów o zawód, Ojciec oświadczył że jest kierowcą. To bardzo ucieszyło Rosjan-nasz "kamandir" nie ma czym jeździć więc złożysz mu "maszynu". Zaprowadzili ich do Konotopu, gdzie Ojcu przydzielili bryczkę z woźnicą. W okolicy na polach stały uszkodzone różne pojazdy ciężarowe, osobowe, gąsienicowe, z których Ojciec miał złożyć jeden sprawny. Było to zadanie niewykonalne. Był 27 kwiecień a Ojciec dowiedział się że Rosjanie świętują 1-go maja. Zaczął prowadzić "grę na czas". Naprawił dwa rowery i ukrył je za stodołą. Gdy Rosjanie zaczęli mocno "zakrapiane" świętowanie, udało im się wymknąć. Rowerami dojechali do Kolska, a dalej pociągiem do Kościana, i jeszcze tego samego dnia dotarli do rodzinnego domu w Konojadzie. W rodzinnym gospodarstwie była już nasza Babcia, która wróciła z wygnania. Dziadek niestety zmarł na wygnaniu. Gospodarstwo było całkowicie ogołocone z żywego inwentarza. W ciągu kilku tygodni do rodzinnego domu powróciła większość rodzeństwa i wspólnie reaktywowali gospodarstwo. Już w połowie czerwca Ojciec pojechał na ziemie odzyskane do Wschowy gdzie zgłosił do inspektora szkolnego swoją gotowość do pracy. Ponieważ był jednym z pierwszych nauczycieli, miał możliwość wyboru szkoły. Inspektor posiadał mapę okolicy, na której Ojciec wybrał wieś Lgin, ze względu na położenie nad dwoma jeziorami, wśród lasów i jeszcze tego samego dnia udał się pieszo do oddalonego o ok. 10 kilometrów Lginia. Tam zgłosił się do sołtysa Michała Działyka, który przyjął Ojca z wielką radością. Zapewnił zakwaterowanie i wyżywienie we własnym domu, do czasu opuszczenia

szkoły przez radziecką komendanturę. Zachęcony przez szybko zwołanych przez Sołtysa Polaków-osiedleńców, Ojciec wrócił do Wschowy gdzie z inspektorem Tworzydło podpisał umowę o pracę. W Iglowie, jak wówczas nazywał się Lgin, z dniem 1.07.1945. Zajęcia szkolne trwały jednak tylko kilka dni, bo wyznaczono wakacje. Nie było żadnych podręczników ani zeszytów, więc wykorzystywano niezapisane kartki i zeszyty niemieckie. W zajęciach uczestniczyło ponad trzydzieści dzieci o bardzo zróżnicowanym poziomie. Rok szkolny 1945/46 rozpoczął Ojciec od podziału na trzy, a później na cztery klasy. Dzieci nie posiadały dokumentów i podawane przez rodziców daty urodzenia często były różne w zależności, czy podawał je ojciec, matka czy babcia. Bywały sytuacje, że rodzeństwo było starsze 5-miesiący jedno od drugiego. Pewnego razu, gdy wrócił rowerem do domu-mieszkanie nauczyciela było w budynku szkoły-przed domem stała rosyjska ciężarówka, a rosyjscy żołnierze ładowali na nią Ojca meble i zegar. Ojciec zażądał odniesienia mebli, grożąc, że w innym wypadku jedzie do komendanta. Odgrając się, że wróca, meble odnieśli. Przez kilka nocy uzbrojony w wyrzutnie przeciw pancerne Ojciec czatował na poddaszu budynku gospodarczego na zapowiadaną wizytę, lecz nie wrócili. O tragicznych losach Stachówki spalonej w lipcu 1943 r. przez ukraińskie bandy Ojciec dowiedział się z listów między innymi ks. prałata z Włodzimierca, który po wojnie był prałatem w Miłkowie koło Karpacza. W 1948 r. Ojciec żeni się z nauczycielką Kazimierą Ireną Sibilską. W 1949 r. rodzi się Andrzej, w 1954 r. Irena, a w 1957 r. Jerzy. Ponieważ szkoła w Lginie mieściła się w dwóch starych budynkach wieloletnie starania Ojca o budowę nowej szkoły zostały zrealizowane. W 1959 r. nowa szkoła została oddana do użytku, lecz mieszkanie dla kierownika miało tylko 36 m. kw. Na takie warunki nie chciała się zgodzić nasza Mama i mimo dużego sentymentu do Lginia i okolic, w wakacje 1959 r. przeprowadziliśmy się do Długiego Starego, gdzie Ojciec został kierownikiem szkoły. Na emeryturę przeszedł w 1975 r. Przez całe życie zawodowe prowadził chóry szkolne.



Fot. 8. Po wojnie (w środku).

Nasza Mama już w 1953 r. zachorowała na stwardnienie rozsiane. Leczenie wymagało dawania zastrzyków, a dojazd do Lginia pielęgniarki lub felczera był bardzo trudny, Ojciec nauczył się dawać zastrzyki. Tą umiejętnością służył społecznie mieszkańcom Lginia, a później Długiego Starego.

Jako miłośnik przyrody i człowiek lubiący słodkości, już w 1947 r. założył pasiekę. Hodowlą pszczół zajmował się do końca życia. Ojciec był fanem motoryzacji. Pierwszym Jego pojazdem był znaleziony na strychu jednego z domów w Lginie, motorower NSU. Następnym był poważny

motor Triumph Standard 500 z koszem. Trzecim motocyklem był kupiony w 1959 r. bardzo zawodny Mińsk {niemieckie DKW w rosyjskim wykonaniu}. Pierwszym samochodem był kupiony w 1964 r. Opel Kadett rocznik 1939. W marcu 1968 r. stał się szczęśliwym posiadaczem Syreny 104, wygranej w losowaniu książeczki samochodowej. W wakacje tego roku wyjechaliśmy Syreną z namiotem na Mazury. W 1974 r. była Skoda I00 MB, a w 1977 i 1986 Fiaty 125p. W 1989 Ford Granada.

Za swoją działalność był wielokrotnie nagradzany i odznaczany-między innymi Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Przejsie na emeryturę nie oznaczało zakończenia działalności Ojca. Przez wiele lat uczył w tzw. zerówce sześciolatki między innymi podstaw gry w szachy. Był działaczem organizacji ZBOWiD i Kółka Rolniczego. Do końca życia dbał o sprawność fizyczną, codziennie uprawiając wieczorny marszobieg. W wieku 77 lat robił na drążku wymyk i odmyk. Patriotyzm, bezinteresowna pomoc innym i dbałość o dobro wspólne, to cechowało Go przez całe życie. Zmarł 19.11.1994 r. po krótkiej chorobie na atak serca.

Andrzej, Irena i Jerzy Kostańscy